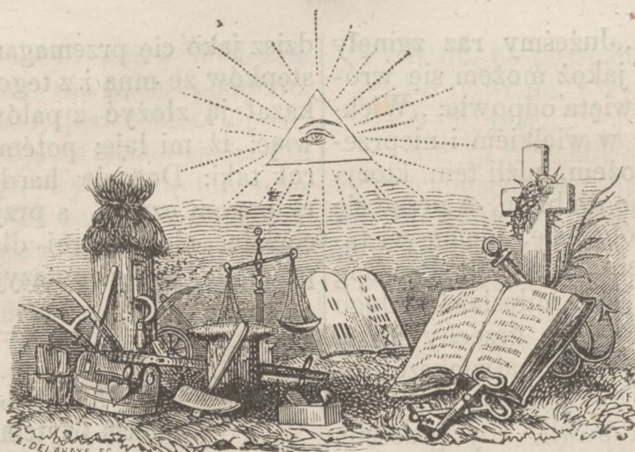
№ 18.

WARSZAWA

4 Maja

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Święta Dorota.

6ty Luty.

—

W mieście Cezarei była panienka na imię Dorota, w zakonie chrześciańskim wychowana. Była i urody wdzięcznéj, a mądra w postępkach swych, żywot niepokalany wiodła. Z dziewictwa powołał ją Pan Bóg na męczeństwo, do wieńca z lilii, ten też z czerwonéj róży kwiat przydając. Za jéj czasów przyjechał do Cezarei na prześladowanie chrześciańskie, starosta Saprycyusz, i świętą Dorotę, któréj sława słynęła, najpierwéj pojmać o wiarę chrześcijańską kazał. I przyzwanéj rzecze: „Dla tegom cię tu stawić kazał, abyś nieśmiertelnym bogom ofiarę czyniła, według rozkazania cesarskiego.“ A ona odpowie: „Wiem co mi mój Pan rozkazał, abym jemu samemu służyła, jako jest pisano: Samemu Panu Bogu twemu pokłon czynić, a jemu samemu służyć będziesz. A tak większego cesarza Boga słuchać potrzeba raczéj niźli ludzi.“

Gdy starosta grozić jéj mękami począł, ona rzekła: „Swieckiéj męki i śmierci nie boją się ci, którzy o wiecznych mękach i śmierci wiedzą.“ Tedy ją zawiesić i rozciągnąć na palach kazał, gdzie ją drapać i bić poczęto. Ale Saprycyusz nic na niéj wymęczyć nie mogąc, wieść ją kazał w dom do dwu niewiast sióstr rodzonych: Krysty i Kalisty, które będąc pierwéj chrześcianki, na mękach wielkich, Boskiego się majestatu zaprzały, a ubogacone od przełożonych pogańskich, żyły już jako poganki, zrozpaczywszy o miłosierdziu Bożém. Tym poruczył starosta ten, świętą Dorotę, prosząc ich, aby ją zmiękczyły, żeby ich przykładem Chrystusa odstąpiła; obiecując im za to wielkie upominki. W domu tedy ich mieszkając, częste namowy miała od nich. „Przyzwol, mówiły, Doroto cesarskiemu rozkazaniu, a wyzwól się sama z takiéj wielkiéj nędzy, jakośmy też i my uczyniły, lepiéj ci żywota nie tracić i nie ginąć przed czasem.“ A ona im mówiła: „Nędznice słuchajcie wy rady mojéj, a żałujcie za to, iżeście się djabłom oddały; a Pan Bóg miłosierny nie wzgardzi pokutującém sercem waszém i przyjmie pokorę wa-

szą.“ A one rzekły: „Jużeśmy raz zginęły i Chrystusa utraciły, a jakoż możem się wrócić nazad?“ A Dorota święta odpowie: „Większy to grzech rozpacz w wielkiém i nieprzebraném miłosierdziu Bożem, niźli ten, któryście popełniły, ofiarując djabłom, a prząc się imienia Bożego. Nie bójcie się, niemaszci takiego grzechu na świecie, któregoby Pan Bóg pokutującemu nie odpuścił; miłosierdzie Jego na wieki jest, przewyższające grzechy nasze, a skrócić go i przemódz nigdy największe złości ludzkie nie mogą. Dla tego Bóg na ziemię przyszedł, jako on sam mówił, aby grzeszne zbawił; bo nie dla sprawiedliwych przyszedł. Pójdźcież do niego z wielką wiarą, a znajdziecie bezwątpienia odpuszczenie.“ Tedy poczęła sama za nie Pana Boga prosić, mówiąc: „Panie, tyś rzekł: Nie chcę utraty i śmierci grzesznego; a większe jest wesele aniołom twoim nad jednym pokutującym, niźli nad dziewiędziesięcio dziewięcio sprawiedliwych; ukaż łaskę nad temi błądzącemi, a nawróć owieczki twoje do ciebie, aby drudzy ich przykładem, którzy się opuścili, do ciebie się wrócili.“ Tedy się serce ich jako wosk rozpuściło, a strumienie łez z oczu puszczając, prawdziwie pokutować poczęły.

Potém przyzowie Saprycyusz sióstr onych pytając się o świętą Dorotę, jeśli jéj serce zmiękczyły? A one rzekły: „Myśmy źle uczyniły i zbłądziły, bojąc się doczesnego męczenia twojego, iżeśmy wiecznego Pana i Boga utraciły, a djabłom ofiarę czyniły. A ta błogosławiona Dorota, ukazała nam do pokuty i miłosierdzia Bożego drogę, abyśmy znaleźć Chrystusa mogły, któregośmy utraciły.“ Tedy drzéć na sobie szaty on okrutnik począł, a one dwie siostry kazał w kocioł rozpalony ogniem wrzucić. Kazał też i świętą Dorotę drugi raz na palach podnieść; a gdy była męczona bardzo, wesołą twarzą Pana Boga chwaliła, iż jéj rzecze sędzia: „Czemuż teraz w mękach czynisz sobie fałszywą dobrą myśl?“ A ona rzecze: „Bardzo się weselę, iż te dusze, które był djabeł przez cię zwiódł, Pan Bóg przez mię przyjął, z których przyjęcia, gdy się dziś weselą ŚS. aniołowie Bozi, a jako ja smutna mam być?“ Tedy kazał żelaznemi blachami rozpalonemi boki jéj palić, co gdy nic nie pomogło, owszem święta mówiła: „Nędzniku w hańbie zostajesz i z bogami twemi, a ja widzisz jako cię przemagam, a z twoich się postępków ze mną i z tego okrucieństwa śmieję; kazał ją złożyć z palów, a w gębę bić mówiąc: iż mi łaje; potém dał na śmierć jéj wyrok taki: Dorocie hardéj pannie, która ofiary bogom czynić, a przy zdrowiu zostać nie chciała, ale śmierci dla jakiegoś Chrystusa pragnęła, kazaliśmy szyję uciąć.

List Stacha do tego pana, co się zajmuje drukowaniem Czytelni Niedzielnéj.

—

Czytujemy sobie Kmiotka, Czytelnię Niedzielną i innych parę książek, jak kto może, to u księdza proboszcza, to tamten sobie od drugiego pożyczy. Do szkoły nie schodzimy się na czytania w niedzielę, bo z rana nijako, a popołudnie krótkie, nabożeństwo pasyjne zajmuje, gdzie i tak człek może się czego nauczyć, gdy ksiądz proboszcz katechizm wykłada. Czekamy da Bóg po Wielkiéj-Nocy, to znów w każdą niedzielę zejdziemy się do szkoły. Bo to jakoś raźniéj człekowi jak usłyszy co ładnego, albo co pożytecznego przeczyta. A ileż to obrazy Boskiéj mniéj! A pan tam drukuje różne rzeczy, co się w naszym kawałku dawnéj Polski dzieje, jak się to tam ludzie garną do nauki i uczenia, jakie to pożytki z tego, to aż serce człowiekowi radością bije. Niech Bóg tym wszystkim płaci, bo widno oczywiście z tego, że choć pańszczyzna ustała, to przecie gdzie był dobry pan, to i tak równo ma sposobność pomagać gromadzie, i ucząc lub podając pomoc do nauki, pomaga lepiéj niżby zapomogę dawał, bo zapomoga może się zmarnować, a nauka, to jest jak ziarnko nasienia w niéj, albo żołądź z dębu. Jeno zasadzić, a przypilnować z początku od młodu, rychtyk jak z dzieckiem, to już poźniéj rośnie na pożytek ludziom i chwałę Bożą. I jak daléj tak pójdzie, dać Bóg, że dobrze będzie na świecie, choć jeszcze siła jest złego; niby nie tak złego, ale jeszcze ciemno, i ludzie wiele uczyć się muszą. Na dowód tego, opiszę panu jedną rzecz, a może się to przyda i posłuży za naukę ludziom.

We wsi Ostrowach, niedaleko od traktu z Krośniewic do Lubienia, co to tam taka wielka fabryka cukru jest, pono największa w Pol-

sce, bo takiéj ani w Galicyi, ani w Wielkiém Księztwie Poznańskiém nie masz podobno. Więc w tych Ostrowach, jest kobieta opętana od djabła, co niby djabeł w niéj siedzi. Na jesieni przeszłego roku, wybrał się tam nasz pan wójt i jeszcze jeden pan, zobaczyć onę babę. Przez drogę, ciągle rozmawialiśmy o tém i śmieli się, aż przyjechaliśmy do Ostrów i stanęli przed domem, gdzie ona niby opętana mieszkała. Weszliśmy do chałupy, a ona kobieta czerstwa, zdrowa, twarz okrągła i rumiana jak księżyc w pełni kiedy wschodzi. Pan wójt znał ją dawniéj, bo mieszkała z mężem w naszéj gminie, gdy służył za fornala, więc ja pozdrowił i zapytał:

— Jak się macie Antosiowa, czy Bartkowa, bo już nie pamiętam.

— Zdrowa jestem, proszę pana, i skłoniła się panom do nóg.

— A poznaliście mnie? spytał się pan wójt.

— A poznałam, czemu nie miałabym pana poznać.

— A tego pana znacie? zapytał się znowu pan wójt, wskazując na tego pana, co przyjechał z nami.

Juścić kiedy opętana i wie wszystko, jak sama powiada, powinna była wiedzieć, kto jest ten pan, co z nami przyjechał, ale tak zapytana, nie mając innego wybiegu, kiedy się nie weźmie krztusić, kiwać głową, kiedy nie wytrzeszczy oczów, czoło zmarszczyła, rozdziawiła gębę, wyszczerzyła zęby, zrobiła się taka straszna jak djabeł. Myśmy cofnęli się trochę, myśląc, baba ma jakie napady waryacyi, niby że cierpi pomięszanie zmysłów.

— O już ją napada, szepnęły kobiety sąsiady, co się tam zebrały, bo to było w przypołudnie.

— Ja wszystkich znam, krzyknęła baba zmienionym głosem. A dla tego głos się jéj zmienił, że wyszczerzywszy zęby scisnęła je mocno. Niech ktokolwiek sprobuje tak mówić, to mu się głos zmieni. I zaczęła zgrzytać zębami, a gdy ją po chwili zaczął niby omijać ten napad, pan wójt zapytał:

— A umiesz ty po niemiecku?

A kobiety sąsiady powiadają:

— Ona umie, wszystkiemi mowami, jakie tylko są na świecie jeno, ona potrafi mówić.

— A zkąd wy wiecie o tém? zapytał się ten drugi pan.

— A no, bo powiada że umie.

— Bo powiada, i wy jéj wierzycie?

— A no, juści...

— Ale to trzebaby się przekonać, a jakże się przekonacie że ona mówi po niemiecku albo po francuzku, kiedy nie rozumiecie same moje kobiety.

— A no juści...

— A czekajcie, niech no ten djabeł ze mną pogada. I obróciwszy się do wykrzywionéj baby, zapytał się coś po niemiecku.

— A baba na to: *ja*, to niby *tak* po polsku.

A ten pan mówił daléj:

— „*Ja*“ to się i sroka gadać nauczy, i znów do niéj po niemiecku przemówił.

Ale djabeł widać języka w gębie zapomniał, bo żeby był najgłupszy, toby pewno po niemiecku umiał, boby go się uczyć nie potrzebował. Ale i ta mowa niemiecka nie była babie na rękę, i użyła zwyczajnego sposobu, kiedy odpowiadać nie umiała. Kiedy się więc nie zatrzęsie, kiedy nie wrzaśnie, kiedy nie zgrzytnie zębami, aż i po mnie ciarki przeszły. Jeno ten pan przystąpił bliżéj do baby, zdjął okulary niebieskie, co miał na nosie, i patrząc jéj prosto w oczy rzekł:

— Słuchaj kobieto, ty masz djabła w sobie? ty łżesz.

A baba jak krzyknie:

— Nie łżę! nie łżę! ja jestem tak duży, jak trzech chłopów.

— I w jednéj babie siedzisz?

— Moje kobiety, mówił ten pan umyślnie, aby babę zastraszyć, jeśli to djabeł, to zostawić go w spokojności, albo odprowadzić ją do księdza proboszcza, a jeszcze lepiéj dać znać miejscowemu wójtowi.

A baba na to, a niby to djabeł wciąż przez nią mówił:

— Ja nie jestem djabeł, jeno byłem świętym, i byłem w niebie w chórze razem z świętym Michałem, aż jak Jezus Chrystus przyszedł, tom ja musiał iść precz.

— A kto był wprzódy, czy święty Michał, czy Jezus Chrystus? zapytał ten pan.

A baba nie mogąc nic na to odpowiedzieć, bo zwyczajnie głupia, a na psie figle mądra, znowu zaczęła po swojemu krzyczeć, ale już inaczej tą razą, bo widziała, że tu okpiwać nie można; jak weźmie więc wrzeszczyć:

— Pu! ha! pif!.tu! aha! hum! czarownica! he! tutu! o! czarownica!

A sąsiady na to:

— Rozgniewał pan djabła.

— Eh, gdzież tam rozgniewałem, tylko głupia baba zbajała się, i znów ucieka do swojego zwyczajnego wykrętu, bo ile razy nie umie odpowiedzieć, to zawsze krzyczy. Musiałby święty Michał wprzód umrzeć niż Pan Jezus, a Pan Jezus był przecie dawniéj w niebie, bo był jedynym Bogiem w Trójcy Świętéj, i na ziemi musiałby wprzód umrzeć święty Michał niż Pan Jezus, a Pan Jezus wprzód umarł, boć przecie w księgach o tém stoi.

A baba precz krzyczała: Fiu! fiu! czarownica! pyf! aha! czarownica!

A druga sąsiadka rzekła:

— Ona nie na pana tak wrzeszczy, tylko na jakąś co tutaj szła, i co uroczyć umie, a ten djabeł to nie lubi takich, zaraz się tak gniewa.

A baba precz wrzeszczała istnie opętana. A pan przekładał ludziom, że ona filut baba: jak uważa, że jaka rozumniejsza kobieta przychodzi, to umyślnie tak wrzeszczy, aby ją nie podchwyciła za słówko i nie odkryła jéj udawania. Zobaczycie, mówił ten pan, że ona was kurować zechce.

A baba dopiero przestawszy krzyczéć, zaczęła mówić wciąż przez ściśnięte zęby. Jak to ona będzie ściągana do sądu, jak to ją tam bić będą i potém zostanie doktorką.

— A widzicie, nie mówiłem wam, że ona was kurować zechce.

I wsiadłszy na bryczkę, pojechaliśmy do domu. A w niedzielę, gdy się ludzie zebrali słuchać czytania jak zwykle, mówili i o téj babie, jedni się śmieli, drudzy uwierzyli na połowę, i tak było cicho o babie aż do tego czasu.

Aż znów ludzie gadać zaczęli, że kuruje baba. Dowiadywałem się, bom był ciekawy, co się to dzieje; a com się dowiedział, to opisuję wiernie i gotów jestem prawie przysiądz na prawdę słów moich.

Schodzą się do niéj ludzie, ale jeszcze nikogo nie wyleczyła, każdemu obiecuje zdrowie i uwodzi ludzi, że dopiero kiedyś tam będzie doktórką dobrą, a jednakże mój Boże, wstyd powiedzieć, tak ludzi tumani, że się schodzą do niéj na poradę dość licznie.

Jedna kobieta przyszła do niéj, miała nowy czepek na głowie, baba zerwała jéj ten czepek z głowy, wrzuciła pod łóżko, oczywiście aby się ustroić w niego, bo go nie oddała. Chorą posadziła na stołku i obnażywszy gryzła ją aż do krwi prawie. Ta nieboga krzyczała w niebogłosy, powiedziała jéj, że będzie zdrową za dwa dni, i jeszcze jéj tyle powiedziała téj choréj, że jak się nie wyprowadzi z Ostrów, to jéj mąż za parę dni umrze, a jeśli się wyprowadzi, to za cztery lata umierać musi, i że jéj matka w Poznańskiem Księztwie już umarła.

Chore kobiecisko w płacz, już parę tygodni leży wciąż chora, pisała w Poznańskie do matki, ale jéj matka zdrowa jako żywo, mąż co miał za parę dni umrzeć, żyje dzięki Bogu zdrów, choć to już parę miesięcy temu.

I nie dziw że baba wróżąc cygani. Bo zkąd człek może wiedzieć, co czeka jego samego albo drugiego? Trzebaby być świętym na to, i mieć natchnienie od Boga nie od djabła. A choć byli święci z wiejskiego stanu, to dla tego, że życie ich było święte, nie tam taki Heród baba. Ale kurowanie nie dawało jéj wielkich dochodów, aż dopiero przyprowadzili jakiegoś chorego chłopca z Dąbrowic. Baba kazała go położyć na słomie u siebie i tak wzięła się go leczyć. Kazała mu powiedzieć, że także ma djabła w sobie i machać rękami, a jak kto przyjdzie, to wołać o to, o co ona mu każe i że to go wyleczy. To sam chłopak mówi, ale powiada, że baba mu tak kazała, i słucha jéj co do słowa; więc jak kto z jego krewnych wejdzie, to ona mu szepnie: „Krzycz serdelków.“ Więc chłopak macha rękami, a krzyczy:

— Serdelków! serdelków! serdelków!

— A za wiele? pyta go się baba.

— Za dwa złote! za dwa złote! woła chłopak, jak mu baba każe, a czasem to i utarguje, że zamiast za dwa złote kupi się za złoty, albo jak tam. Siaki taki krewny, sięgnie do kieszeni i pośle po serdelki do oberży. Więc jak przyniosą, to baba pakuje serdela chłopakowi w usta, ale ten chory jeść nie może, to baba wtedy tłomaczy, że djabeł nie chce, i co tam zostanie, to sama zjada późniéj. Albo czasem jak się jéj zachce kawy, to każe o nią wołać chłopakowi. To chłopak nieboraczysko, myśląc że go to uzdrowi, woła:

— Kawy! kawy! kawy! kawy!

— A jakiéj chcesz kawy? mówi baba, z arakiem i ze śmietanką?

To chłopak krzyczy:

— Z arakiem i ze śmietanką, z arakiem i ze śmietanką.

Baba widać słyszała że pijają kawę z arakiem i ze śmietanką, ale jak kto pije z arakiem, to już bez śmietanki, a jak ze śmietanką, to bez araku, jak kto lubi; ale do kawy ze śmietanką nalać araku, to się zrobi taka lura Panie odpuść, że jeno baba, co nie ma smaku, może przełknąć coś podobnego.

Więc przyniesą kawy ze śmietanką i z arakiem, baba daje chłopcu, ale ten pić nie może, więc sama wypija, bo chłopak naprawdę jest chory i wierzy, że tym sposobem baba go wykuruje; a jak kto obcy przyjdzie z innéj okolicy, to widząc chorego leżącego u niéj, myśli że baba naprawdę jest doktorką i płaci jéj.

Mój Boże! mój Boże! tak to nas oszukują, bo sami sobie jakoś wykalkulować nie możemy, a łatwiéj wierzymy w bajkę jak w prawdę, choćby ona przed oczyma nam stała. Ale jak kto sam sobie nie może wyrozumieć, to tylko niech pamięta na to co Pan Jezus Chrystus nauczał, to i tak nie omyli się, a tu wywyraźnie nasza religia zabrania wierzyć w czary i gusła.

* * *

Gdym już skończył pisać o onéj Ostrowskiéj babie, jeno niech się kumoszki nie gniewają na mnie, że pisząc o téj tam jakiejś, piszę *baba*; juścić to kobieta, to jest dobrą matką, dobrą gospodynią, dobrą chrześcijanką, to takiéj każdéj mówię *kobieta*, ale o takiém tam lichu, zawsze *baba* pisać będę. Otóż gdym już napisał o onéj babie z Ostrów, przyszedł do mnie mój przyjaciel i sąsiad. A gdym mu przeczytał com napisał, on opowiedział mi historyjkę:

Co się stało w Kieleckiem przed kilkoma laty.

W jakiejś tam wiosce, bo jéj nazwisko zapomniałem, były dwie baby wyrobnice, mieszkały niedaleko przy karczmie; ale już na końcu wsi była ta chałupa, w któréj mieszkały w jednéj izbie, a gospodarz zajmował resztę domu, przy domu był ogródek owocowy ogrodzony dobrze, a że ten ogród był wypuszczony w dzierżawę, dla wygody w jedném miejscu był przełaz, zwyczajnie na dwóch kołkach kawałek na płask leżącéj deski, żeby łatwiéj przez płot przechodzić można było. Tak opisuję o tym ogrodzie, płocie i przełazie, bo to wszystko ma swoje znaczenie. Owóż tedy te dwie baby, też sobie powiedziały, że je djabeł opętał, ale to nie jeden niby, bo w każdéj miało siedzieć po piętnastu małych djabełków. Zawsze te dwie baby latały po wsi razem, jedna z ożogiem, druga z łopatą i tumaniły ludzi, wróżyły, niby to jakieś zioła od uroków rozdawały i wyłgiwały pieniądze i pożywienie.

Ale raz przyjechał jakiś gospodarz wieśniak przed karczmę, konie popasały, a że to było w lecie, więc wziąwszy bicz z bryki, gdy parobek porzucił koniom siana, wyszedł sobie ku wsi, zobaczył ten ogródek cośmy o nim mówili i chciał wejść do niego jako wynajętego. Ledwie nogę na przełazie postawił, aż tu wylatują do niego baby i krzyczą, jedna z jednéj strony, druga z drugiéj:

— Mamy djabłów w sobie, daj pieniędzy bo cię uroczemy, bo oślepniesz, ogłuchniesz.

Człek stanął, myślał że pijane, ale gdy te coraz bardziéj dopominają się pieniędzy, grożąc że go oczarują, że są mocne, bo mają dużo djabłów w sobie, tak ów chłop zapytał się jednéj:

— Dużo masz djabłów w sobie?

— Piętnastu, odpowiada baba.

— A ty druga?

— Także piętnastu.

A napastowany na to:

— Jest was tu dwa mędle, idźcież sobie do kopy djabłów i dajcie mi pokój.

Aż jedna baba przyskoczyła i łap go ożogiem za nogę, a druga, co była z łopatą, daléj mu sięgać do kieszeni. A on jak trzepnie jednę przez łapę biczyskiem, a biczysko było plecione. Baba i ożóg rzuciła, jak się kopnie, to jeno się za nią piach przewalał. A do téj, co mu do kieszeni sięgała, jak dopadł, jak ją chwycił za kark, przewrócił na przełaz, ludzie się zbiegli, myśleli że djabli staną w obronie baby, a gospodarz dopiero jak weźmie laskę:

— A wiele masz djabłów?

— Żadnego krzyczy baba.

— Nieprawda, masz piętnastu, i buch kijem, a widzisz to jeden, to już ci się tylko czternastu zostało. I odliczył jéj piętnaście doskonałych. Baba i prosiła i przysięgała się, że żadnego djabła ani miała, ani niema, ani mieć nie będzie, a ten precz bił. Potém, ów

podróżny odjechał, a baby i do roboty chodziły, i robiły jak drugie, i już nigdy djabłów w sobie nie miały, tak ich skutecznie wystraszył.

Gawęda warsztatowa.

O skutkach z nadużycia bawarskiego piwa.

—

— A zkądże to wracasz tak późno, mości panie Wojciechu? zagadnął p. Stanisław przybyłego na zwykłe niedzielne zebranie u majstra.

— Z pogrzebu... z Powązek... odparł smutnie zaczepiony, odprowadziliśmy tam na wieczny spoczynek, Józefa ciotecznego szwagra mego, co był wybornym czeladnikiem kowalskim i pracował w warsztatach Żeglugi parowéj.

— Tego czerwonego na twarzy nie starego jeszcze, co to z tobą dawniéj co niedziela panie Wojciechu chodził na Czyste za Wolskie rogatki...

— A tego właśnie! odparł Wojciech.

— No proszę! nie stary jeszcze i tak mu się prędko zmarło; zauważył któryś z czeladzi.

— A tak, dopiero czterdziesty rok miał... zostawił żonę i pięcioro dzieci drobnych, dodał Wojciech.

— Biedna wdowa! biedne sieroty! litowała się czeladź, bo biedny nasz rzemieślnik skory do litości, rozumie bowiem nędzę, gdyż jéj sam często doświadcza.

— Kto je ożywi! kto je okryje! kto im dopomoże! dawały się słyszeć głosy.

— Bóg na wysokim niebie, odparł poważnie p. Stanisław... Bóg, który opiekuje się wdowami i sierotami.

— Człowiek jest jak bańka mydlana, zauważył któryś czeladnik; niedawnom widział Józefa, jak chodził zdrów i rzeźwy.

— To też umarł on nagle, odparł Wojciech; doktór mówił, że Józef zapił się bawarem.

— Prawda, że nieboszczyk, świeć Panie nad jego duszą, niepomiernie suszył kufel, rzekł tenże sam co poprzednio czeladnik.

— Ale czy to można zapić się bawarem, bronił Wojciech sam amator tego *trunku*, niepodobna bowiem powiedzieć tego *napoju*. Zresztą, dodał, Józef tak bardzo dużo bawara nie pił, nigdy go bowiem nie widziałem pijanym... a że tam z dziesięć kufelków na dzień wypróżnił, to przecież nic wielkiego, bo ja sam znam takich, co po dwadzieścia podwójnych kufli za jednym przysiadem wypijają, a mimo to zdrowi jak ryby...

— A nawet czerstwi, tłuściutcy, bo wiadomo, że bawar tuczy, dołożył inny.

— O Józef mógłby drugie jeszcze czterdzieści lat żyć, bawara pić i nieby mu nie było, mówił Wojciech, ale tylko głupstwo zrobił, że się zakładał z tym grubym niemcem, że za jednym przysiadem wypije 25 kufli podwójnych; to mu zaszkodziło przy dwudziestym, tak się spił że go musieli odwieść do domu, a w nocy widać krew zalała. Doktór mówił, co go późniéj zawezwał, że Józef nie miał krwi, ale w żyłach krążył mu już bawar...

— Dowcipny! kpić z cudzego nieszczęścia! obruszył się jeden z czeladników.

— Bardzo się mylicie, przerwał milczenie p. Stanisław, doktór wcale nie żartował, ani téż widząc pięcioro sierot nie miał na myśli kpin. Chciał on tylko swemi słowami dać przykład obecnym szkodliwości bawarskiego piwa, którém rzemieślnicy nasi zapijają się tak często. Prawdę on mówił, że piwo bawarskie przechodzi w krew krążącą w żyłach i zatruwa ją swoim jadem; u pijaków zaś niezmiernie dużo używających piwa bawarskiego, taka obfitość tego jadu w krwi się zgromadza, że późniéj ratunek jest już prawie niepodobnym i krew niemal w piwo bawarskie się zamienia...

— Ale proszę pana majstra, wtrącił Wojciech, przecież Józef umarł nie z zepsucia krwi, ale nagle z apopleksyi...

— Toż samo by było, gdyby się był upił wódką! zauważył jeden z czeladzi... co tu winien bawar?

— Tak toż samo by było, gdyby się upił wódką, bo też bawar jest tak szkodliwy jak wódka, a nawet pod pewnym względem jeszcze więcéj. Każdy z zapalonych zwolenników bawara, wstydziłby się wejść do szynku i tam upić się wódką, żaden jednak nie czuje wstydu spijać po dziesięć i piętnaście kufli bawara. Powiadacie, bawar to sobie piwo, to napój to nie trunek, ale myśląc tak, jesteście w grubym błędzie, który niestety prędzéj lub późniéj przyjdzie wam srogo odpokutować. Ubolewaliście nad nieszczęśliwym losem sierot pozostałych po Józefie... a czyjemże dziełem śmierć jego jeżeli nie nadmiarowego uży-

cia bawara? Powiadacie, że gdyby się był upił wódką, także mogłaby go apopleksya zabić, że jest to nieszczęście wypadkowe! lecz czyż zastanowiliście się, że nieszczęście to poprzednio zostało przygotowane wprawieniem się do nadmiarowego użycia bawara. Wypijał Józef naprzód jeden kufelek co wieczór, późniéj dwa, trzy, aż doszedł do dziesięciu, no więc ośmielił się na zrobienie zakładu, który przypłacił życiem.

— A jeszcze gruby niemiec, z którym się założył Józef, rości do wdowy pretensyę o pięć rubli zakładnego. Wczoraj po pogrzebie, gdy biedna kobieta płakała, aż serce się ściskało, ten nicpoń upominał się od niéj pięciu rubli wygranych od męża nieboszczyka, bo nie wypił on dwudziestu pięciu, ale tylko dwadzieścia kufli...

— A nie mogłeś mu tam dodać pięć, ale na plecy, odezwał się jakiś energiczny czeladnik.

— Bah! ja mu tylko rękę pokazał, a niemczysko grube zszedł z drogi i tylko mruczał coś pod pałkowatym nosem.

— Tak to widzicie, znowu konkludował pan Stanisław, marny koniec spotkał niedoświadczonego lubownika bawara. Nie wszyscy prawda gwałtownie z bawara umierają... jest nawet wielu takich, co tak wyglądają dobrze, tłusto... bo bawar powiadacie tuczy. Ale to są pozory! i należy pamiętać, że mówi polskie przysłowie: dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. Pijący po dziesięć kufli bawara, wyglądają zdrowo, ale zapytajcie się lekarzy, ileć to ich umiera choćby na inne choroby, dlatego tylko, że dane lekarstwa z powodu przesiąknięcia ciała bawarem, nie mogą skutkować i pomocy przynosić. Powiadacie ten umarł na apopleksyę, inny na zaziębienie, gorączkę, tyfus i t. d., ale bardzo wielu mianowicie między rzemieślnikami mogłoby być z tych chorób wyleczonemi, gdyby nie bawar... wszyscy więc oni według mnie umarli na bawara.

— Ale i cóż w tym bawarze jest tak szkodliwego, zapytał jeden z czeladzi, ot piwo jak piwo zwyczajnie!

— Mylisz się pod tym względem nieco! rzekł p. Stanisław; gdybyś wiedział jak się fabrykuje bawar, możebyś miał inne zdanie. Bawar nie jest to napój ale trunek, bo zawiera w sobie niemałą dozę alkoholu czyli wódki. Robi się on prawda jak i każde piwo z jęczmienia, ale tak, aby po wyfermentowaniu dużo zostawało w nim spirytusu i ztąd też bawar upaja, bo jest mocny alkoholiczny; używany w obfitości działa jak wódka, choć naturalnie, trzeba go więcéj wypić, ażeby się nim upić. Lecz nie jest to rzeczą najszkodliwszą w bawarze: jak wiadomo, ma on smak gorzki, który to smak w sumiennie fabrykowanym bawarze pochodzi od chmielu. Chmielu tego wychodzi dużo, a jest on drogi po kilka złotych funt. Czy więc fabrykanci mogą nadawać bawarowi tak mocną gorycz z chmielu, kiedy ogromny kufelek bawara kosztuje tylko 8 groszy?

— Teraz droższy, bo po dziewięć... westchnął Wojciech.

— Wszystko to jedno, podwyżka nie idzie na polepszenie towaru, ale na zwiększenie zarobków piwowarów... którzy widząc, że im bawar dobrze odchoddzi, że wielu rzemieślników w nim się zaprawiło, powiedzieli sobie, co to szkodzi podnieść o dwa grosze i tak pić będą. A że się ci niemieccy piwowarzy nie mylą, to dowód macie na sobie. Owóż więc wracając do goryczy, nie jest ona czysto chmielową, ale nadaje smak gorzki domieszaniem palonéj lukrecyi, piołunku i t. p. ziół, a są nawet tak niesumienni piwowarzy, (może nie u nas, ale zagranicą to pewno), że domieszują do piwa wronie oko, które w większéj ilości jest straszną trucizną, lub dla nadania trunkowi większéj ostrości, dolewają w bardzo małéj ilości witryoleju.

— A to piękna rzecz! można sobie wnętrzności spalić! no to już chyba tego nie robią nasi piwowarzy... bo nie słyszałem, aby u nas kto pijąc bawara, wnętrzności sobie spalił.

— Mam nadzieję, odpowiedział p. Stanisław, że u nas do tego środka nie uciekają się; witryoleju domieszanego do piwa nie czuć, bo jest w małéj ilości, sprawia on jednak ciągłe palenie czyli pragnienie, a ztąd wszyscy pijący bawara nieograniczają się na jednym kufelku, ale zawsze łakną coraz więcéj i wprawiają się do wypijania ogromnych ilości. Oto takim napojem jest wasz bawar! Spojrzmy teraz na ludzi opitych bawarem: co za obmierzłość w całej ich postaci! Twarz zaczerwieniona i nabrzękła jest jakby nalana, nos pałkowaty nosi ślady krost i wyrzutów bawa-

rowych trucizn, oczy przymglone jakby nieżywe, z ust cuchnie smród bawarskiego piwa! Powiadacie, że ludzie tacy są tłuści: powiedźcie raczéj, że są nalani piwskiem, które im brzuch do kolosalnych rozmiarów wydyma. A obejście się tych ludzi czyż lepsze od powierzchowności. Zaiste wcale nie! Ciągłe odurzenie i ociężałość umysłu, czynią ich niezdolnemi do wszelkiego porządnego myślenia, do zastanowienia się nad przedmiotami uczciwemi, poważnemi. Przestając po lichych ba waryach z podobnemi sobie pijakami nabierają obyczai grubych, gestów i żartów nieprzyzwoitych, słowem pozbywają się wkrótce tego wszystkiego, co stanowi zacność i piękne przymioty człowieka. Nie są to już ludzie, ale kufy napompowane bawarem, wzbudzające w każdym uczciwym człowieku wstręt i wzgardę! I jakaż żałość serce każdego przyjaciela rzemieślników ogarnia, gdy widzi, że oni to głównie oddają się bez umiarkowania piciu bawara, że samochcąc zatruwają zdrowie, zniedołężniają umysł, a nawet częstokroć sami stają się przyczyną swéj śmierci nagłéj i bolesnéj dla rodziny!

A to dopiero jedna część tego obrazu smutnego, rzekł po pewnéj chwilce p. Stanisław do milczącéj czeladzi. Picie nadmiarowe piwa bawarskiego tak jak wszelkie nadużycie, pociąga za sobą nietylko ruinę zdrowia, ale i ogromną stratę dla kieszeni, tém dotkliwszą, że ponoszą ją klassy ubogie. Kufelek piwa tylko 7 czy tam 9 groszy kosztuje, wołacie, lecz pomyślcie, ile to kufelków dziennie wypiją w Warszawie, i ile to na rok uczyni? Pijąc jeden kufelek dziennie, wydajemy rocznie *sto złotych* na piwo bawarskie, a przecież znajduje się mnóstwo między nami takich, co piją po 10 do 20tu kufelków dziennie, wydają więc 1000 do 2000 rocznie! Z tych to właśnie pieniędzy panoszą się piwowarzy, niemieccy przybysze, którzy na zatrucie nas przynieśli z sobą i bawara. Bogacą się także i bawarye, coraz to liczniejsze na każdéj ulicy. Nie ma już u nas niemal domu, gdzieby nie zakładano bawaryi, nie ma kilku drzew, gdzieby nie było ogródka z bawarem, a przy nim niemca chętnie czepiającego się tego łatwego zarobku.

— Bo też te niemczyska piją tęgo bawara... że im to nie szkodzi tylko nam? zapytał jakiś czeladnik.

— Widac mój kochany inne mamy natury, odrzekł p. Stanisław... co niemcowi pożyteczne, to nam szkodliwe, a dla polskiego rzemieślnika bawar niezawodnie jest trucizną, a nawet z polaka robi potrochu niemca, tak, że kto dużo pije bawara, to z czasem niemczeje.

Tu przeżegnała się czeladź z pewnym wstrętem, jakby chcąc odegnać złego ducha.

— Otóż więc, ciągnął daléj p. Stanisław, trzeba raz temu niemczeniu koniec położyć, z wielką pomocą dla zdrowia i kieszeni rzemieślników naszych. W tym celu między rzemieślnikami, należałoby założyć bractwo wstrzemięźliwości od bawara na podobieństwo istniejących bractw wstrzemięźliwości od wódki po wsiach. Bractwa takie między rzemieślnikami znajdują się w Anglii, i bardzo się tam rozpowszechniają z wybornym skutkiem. W tym celu urządzają się tam gospody noszące nazwę Temperance Inn, w których nie sprzedają żadnego innego trunku prócz herbaty, kawy lub wody z cukrem albo lekkiego piwa. Podobne bractwa i podobne gospody, przy niejakiém usiłowaniu duchowieństwa, mogłyby powstać i w Warszawie, a pewno na założycieli spłynęłoby błogosławieństwo Boże. A teraz zmówmy Zdrowaś Marya, za duszę Józefa, nieszczęśliwéj ofiary nadużycia bawarskiego piwa!

Zagadka.

Gdy pracujesz, gdyś poczciwy,
Tom ci zawsze usłużliwy,
Daję odzież, daję strzechę,
Niosę jadło i uciechę;
Ale gdy bracie próżnujesz,
Łotrujesz i oszukujesz,
To zaraz, lub w twéj starości,
Ucieknę od jegomości,
Ucieknę, choć moje miano,
Na mych bokach napisano.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15. Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 4 Maja 1862 r.